

NASZ PRZYJACIEL

Dodatek do „Głosu Wąbrzeskiego“

Nr. 36

Wąbrzeźno, 5 września 1926 r.

Rok 3.

Ewangelja

św. Łukasza rozdz. 14, wiersz 1—11

W onczas, gdy Jezus wszedł do domu jednego przedniejszego Faryzeusza, w Sabbat, jeść chleb, a oni Go podstrzegali. A oto człowiek niektóry opuchły był przed Nim. A Jezus odpowiadając, rzekł do biegłych w Zakonie i Faryzeuszów, mówiąc: Godzi — li się w Sabbat uzdrawiać? Lecz oni milczeli. A On wzięwszy go, uzdrowił i odprawił. A odpowiadając, rzekł do nich: Którego z was osieł, albo wół wpadnie w studnię, a nie wnet go wyciągnie w dzień sobotni? I nie mogli mu na to odpowiedzieć. I powiedział też podobieństwo do zaproszonych, baczcie, jako pierwsze siedzenia obierali, mówiąc do nich: Gdy będziesz wezwan na gody, nie siadajże na pierwszym miejscu, aby snadź godniejszy od ciebie nie był wezwan od niego; a przyszedłszy ten, który ciebie i onego wezwał, nie rzekł ci: Daj temu miejsce, a wtedybyś ze wstydem począł mieć ostateczne miejsce. Ale gdy będziesz wezwan, idź a siadź na poślednim miejscu: że gdy przyjdzie ten, który ciebie wezwał, rzecze tobie: Przyjacielu posiądź się wyżej. Tedy będziesz uczeszon społem z tobą siedzącymi. Bo wszelki co się wynosi, uniozon będzie, a kto się unia, wywyższon będzie.

Nauka z ewangelji.

Dlaczego Chrystus Pan jadł z Faryzeuszami, którzy tak wielce byli dla niego nieprzyjaznymi?

Nasamprzód pewnie dlatego, gdyż prawdopodobnie, jak często w innych, tak i tym razem, był do stołu ich zaproszony. Następnie dlatego, że chciał z jednej strony z każdej sposobności korzystać i pełnić swe święte posłannictwo, z drugiej litościwie przyjąć w pomoc i oświecić

błądzących i nieświadomych Faryzeuszów i o ile tylko mógł, ocalić ich. Tak same i my winniśmy postępować sobie z bliźnimi naszymi, chociażby byli naszymi nieprzyjaciółmi, dobrze im czynić i ze wszystkich sił troszczyć się o ich zbawienia duszy.

Jakiej nauki udzielił Jezus obecnym Faryzeuszom wedle opowiadania dzisiejszej ewangelji?

1. Uczył On przez cudowne uzdrowienie opuchłego i rzeczywistej miłości ku bliźniemu. 2 Uczył, że i w szabas (t. j. niedzielę lub święto) nie tylko nie wolno, ale jest i obowiązkiem czynić dobrze cierpiącym bliźnim i odwracać od nich nieszczęście. 3. Uczył ze względu na ubieganie się cheiwych sławy Faryzeuszów o pierwsze miejsce, że nie wyniosła pycha prowadzi w obliczu ludzi i Boga do pierwszeństwa i zaszczytów, jeno skromność i małe cenienie siebie.

Odrodzenie zakonu św. Benedykta w Polsce.

Już w zaraniu naszych dziejów ojczytych, w ślad za pierwszymi apostołami Chrześcijaństwa w Polsce zjawiają się tak zasłużeni około cywilizacji nowochrześcijańskich narodów, synowie św. Benedykta, — **O. O. Benedyktyni**. Sprowadzali ich książęta i rycerze polscy, fundując dla nich drewniane zrazu a później murowane klasztory które następnie obdarzali licznymi posiadłościami i przywilejami. W ten sposób powstały sławne opactwa w Tyńcu, Lubiniu, na Świętym Krzyżu i innych miejscach.

Wiele, bardzo wiele zawdzięcza naród polski tym niestrudżonym pionierom Wiary Chrystusowej oraz pierwszym nauczycielom ludu, którzy po utrwaleniu w nim zasad chrześcijańskich uczyli go z największym poświęceniem systematycznej uprawy roli i zakładali wzorowe ogrody sady, winnice i stawy rybne, a nad rzekami budowali młyny; im bowiem należy przypisać sprowadzenie do Polski latorośli winnej, drzew owocowych, karpia i t. p.

U nich także powstają pierwsze biblioteki składające się z mozolnie przepisywanych ksiąg

i dokumentów. Pilność bowiem i cierpliwość benedyktyńska jest przysłowiowa. Zawdzięczamy tym uczonej i pracowitej zakonnikom początki naszej literatury; któż bowiem nie słyszał jeszcze o „Kazaniach Świętokrzyskich” i podobnych pomnikach języka polskiego, pochodzących z dawnych klasztorów benedyktyńskich.

Nie mniejsze są ich zasługi koło szkolnictwa polskiego, gdyż przy każdym klasztorze od samego początku istniały szkółki ludowe oraz studia średnie, a niektóre posiadały także seminarja wyższe, jak n. p. Tyniec.

Takim rozsądnikiem kultury, pomniejszającym na całą ówczesną Wielkopolskę i Pomorze był słynny w dziejach polskich klasztor w Lubiniu, założony przed blisko 900 laty przez Hr. Skarbka, a obdarzany w ciągu wieków hojnie przez książąt i królów Polskich.

Historja klasztoru lubińskiego jest jakoby częścią Historji Polskiej gdyż łączy je liczne wiekopomne daty i fakty historyczne. Pod kościołem klasztornym n. p. kazał się pochować Władysław Laskonogi, jak o tem świadczą stare kroniki lubińskie.

W drodze powrotnej ze Soberu Trydanckiego przebywał także w Lubiniu wielki Kardynał Hozjusz, oraz wielu innych znakomitych mężów i władców polskich chętnie odwiedzało opactwo lubińskie, zasłużone dla Polski choćby tylko przez swych uczonych opatów, którzy z polecenia królów polskich spełniali różnego rodzaju posłannictwa dyplomatyczne do Rumunji, Madrytu i innych dworów ówczesnych.

A iluż to pobożnych i gorejących ogniem miłości bożej mężów przebywało w tych św. murach. Wielu z nich umierało in odore sanctitatis jak n. p. O. Bernard z Wąbrzeźna. Trzy sta lat przeszło minęło od śmierci tego świętobliwego sługi bożego, lecz pamięć Jego oraz cudów zdziałanych przez Niego lub za Jego wstawiennictwem, do dziś dnia sprowadza licznych pątników do Jego grobowca. Niestety wota po większej części zaginęły podczas wejen ubiegłych stuleci a resztę zabrali Prusacy przy kasacji klasztoru.

Jednem słowem klasztor lubiński był dla Wielkopolski drogim skarbem i od wieków słynął daleko poza jej granicami jako uroczyste położony przybytek świętych i źródło łask i nauti.

To też żal ogarnął przyjaciół klasztoru i patryjotów gdy w r. 1855 pożegnał się na zawsze z swą celką ostatni przeor Benedyktyński O. Szulezewski który umarł tam jako proboszcz lubiński gdyż klasztor już na początku XIX w. przez Prusaków w trzech czwartych został rozzebrany i formalnie skasowany.

Runęły odwieczne, grube mury, zagrzebując pyłem wieków kości i pamiątki cenne po tych pracownikach nieustrudzonych, którzy dla jednego tylko celu żyli tu, pracowali i umierali, aby we wszystkim był uwielbiony Bóg.

Zaginęła i cenna biblijoteka, uzbierana w ciągu stuleci ogromnym nakładem pracy czasu i pieniędzy, a która zasobami swymi musiała zasilić nie tylko liczne biblijoteki krajowe ale nawet biblijotekę królewską w Berlinie.

Ten sam los spotkał skarbiec i zakrystję. Rozkradziono doszczętnie kosztowne przybory kościelne, ornaty, kielichy, wota, dzwony nawet i fundusze ze skarbonek.

Wszystko przepadło, i ogrody śliczne, i winnice, sady i stawy, młyny i wszelkie zakłady klasztorne. Tylko piękny barokowy kościół ze swemi dębami, wysoce artystycznymi stalami oraz pięknym nagrobkiem świętobliwego O. Bernarda sterczał jeszcze jako jedyna pamiątka lepszych czasów, świadcząca wymownie o minionej chwale oraz bogactwie starożytnego opactwa.

Ale czasy się zmieniają a z niemi i losy pokoleń. Po upływie długiego wieku żałoby i milczenia, kiedy Ojczyzna nasza zbudziła się z letargu i zmartwychwstała do nowego życia, wykwitającego z gruzów i popiołów, wtenczas zaczynały się zbudzać także stare zapadłe mury lubińskie i rozglądały się tęsknym okiem ażali nie ujrzą znowu wracających a prawych ich spadkobierców, synów św. Benedykta.

I przyszli rzeczywiście ci polscy synowie św. Ojca Benedykta, którzy tak długo wygnani z Ojczyzny, musieli się tulać po zagranicznych gościnnych klasztorach. Przyszli, ażeby objąć swój spadek, składający się już tylko z resztek dawnych murów i nieco ziemi, bo tyle tylko pozostało po owych ślicznych fundacjach i zapisach książąt i królów polskich, które obejmowały prawie wszystkie przyległe okolice wraz z lasami i wodami.

Mimo to zubożali synowie powitali te szeszupłe mury, które gościły przez tyle wieków ich braci zakonnych i zamieszkali wśród nich, aby zaszczerpić tu nowe życie mające przywrócić kiedyś dawną świetność i chwałę Lubinia. Trudne są wszelkie początki, a więc i tu odbudowa klasztoru nie tak łatwo pójdzie, lecz jest nadzieja, że Bóg powoła nowych, ofiarnych pracowników do tej winnicy starej i wskrzesi z nich godnych synów św. Benedykta, którzy przy pomocy ofiarnego społeczeństwa wzniosą na nowo mury historycznego klasztoru. a wtenczas zakwitnie znów iście benedyktyńskie życie, zaludni się to miejsce świątyni i popłynie stąd oby jak najszarzej strumień łask i światła prawdziwego, „oby we wszystkim był uwielbiony Bóg!” co niewątpliwie wyjdzie na chwałę i pożytek zmartwychwstałej Ojczyzny, naszej drogiej Polski.

Nadmienić warto, że zainteresowanie się klasztorom i jego dziejami i pamiątkami stale wzrasta. Lubią odwiedzają prawie codziennie liczne osoby z różnych sfer. Między innymi przebywał tu także b. prezydent Rzplitej Polskiej p. Stanisław Wojciechowski, s. p. arcybiskup Edmund Dalbor biskup Kamieniecki. Piotr, b. minister wojny p. Władysław Sikorski i wielu innych. Przybywają także skauci, szkoły i wyieczki towarzystw polskich, gdyż dogodne położenie klasztoru przy koleji Kościan-Gostyń ułatwia bardzo zwiedzania Lubinia i jego zabudnek.

Józef Stańczewski.

Tolerancja jest jedyną postacią pokoju, jak może utrwalić się wśród ludzi.

* * *

Jarzmo nie przestaje być jarzmem, bez względu na to, czy spoczywa w jednej ręce, czy w setkach tysięcy.

Szkielet na Łesznie.

Powieść

przez

13) **Walerego Przyborowskiego**

(Ciąg dalszy).

Światelko tymczasem przesuwało się wolno. Godną zastanowienia była ta okoliczność, że niósący to światło zatrzymywał się co chwila, jak gdyby wahał się i wyraźnie kierował się ku pokojowi ze szkieletem. To do najwyższego stopnia podnieciło ciekawość doktora.

— Coś się w tem kryje — szepnął.

Burza ucichła już, tylko deszcz lał nieustannie. Wichry wciąż szumiły wśród drzew, miotły nimi i gwał, aż skrzypiały i jęczały żalostliwie. Oddalające się grzmoty przepełniały ponurem mrużeniem powietrze. Z liści drzew obok deszczu padającego ciągle, lały się strumienie wody.

Doktor był przemoknięty i w butach więdzących w grząskim gruncie; czuł wilgoć.

Nie przestawał jednakże ani na chwilę obserwować tajemniczego światła we dworaku, które zatrzymawszy się stosunkowo dość długo w jednym z przed ostatnich okien, a zatem jak obliczał sobie Żubr, w pokoju poprzedzającym schronisko szkieletu, nagle ruchem szybkim i stanowczym puściło się naprzód i znalazło się nakoniec na miejscu zbrodni. Wyglądało to tak jak gdyby ktoś wahał się, namyślał, nakoniec pozwilawszy postanowienie i obawiając się wahań, rzucił się naprzód, by raz zakończyć całą sprawę. Dość, że w pokoju ze szkieletem zajaśniało mgliste światło, z trudnością przedostające się przez szyby pokryte grubą warstwą kurzu i kładące się bladą, mętną plamą na bujnych zielonkach, rosnących pod murem.

Nie namyślając się wiele, doktor jednym skokiem znalazł się wśród tych zielisk przy oknie. Serce mu tak biło, był tak wzruszony, że nie mógł nie dostrzedz przez zamazane szyby, zapomniał zupełnie o otworze, zrobionym, jak sądził, przez kulę. Patrzał przytykał twarz do okna, ale nie widział. Nakoniec silniejszy promień światła przedzierający się przez ten otwór, zwrócił jego uwagę. Spojrzał przezeń i skamieniał.

Tuż przy szkielecie, którego kształty straszliwie niepewno rysowały się przy migotliwym blasku świecy, stał jakiś mężczyzna, otulony w długi płaszcz z peleryną, w bandyckim kapeluszu na głowie, którego skrzydła zmoczone przez deszcz zwieszały się na dół i zakrywały mu prawie zupełnie twarz. W głębi pokoju widać było się ponure, ruchome cienie; światło świecy, chwytając się od przeciągu powietrza, szuchało silne rembrandtowskie blaski na ten długi płaszcz i kapelusz. Nieznajomy był widocznie silnie wzruszony, gdyż ręka trzymająca świecę drżała tak mocno, że widać było jak światło zataczało febryczne ruchliwe kręgi. W drugim ręku trzymał mężczyzna jakieś narzędzie, którego z powo-

du ciemności a może wzruszenia, doktor rozpoznać nie mógł.

Powoli jednak młody człowiek począł przychodzić do siebie. Siekająca z szyb zimna woda deszczowa chlouzła mu rozgorączkowaną twarz. Począł się baczniej przyglądać dziwnej postaci, stojącej przed nim i zdawało mu się konieczne, że już gdzieś tę figurę otyłą, niską, z ruchami iaszącego się kota, widział. Nie mógł sobie jednak przypomnieć i zresztą nie było czasu o tem myśleć. Nieznajomy szeptał jakieś słowa, których tylko odgłos dochodził do uszów Żubra, gdyż wycie wiatru, szum drzew, plusk deszczu i pomruki burzy, głuzyły je zupełnie.

Nagle nieznajomy zwrócił się twarzą do okna; blask świecy padł na niego i na nadzwyczajnie zdziwienie swoje, doktor w tajemniczym pielgrzymie, błądzącym nocą po dworaku, poznał Heliglasa.

Tak, on to był. Twarz jego śmiertelnie, trupio blada, miała w sobie wyraz strasznej, nieopisananej zgrozy; oczy, szeroko rozwarłe, patrzyły błędnie w próżnię i paliły się jakimś niezdrowym, fosforycznym blaskiem; usta konwulsyjnie skrzyżowane szeptały znane już Żubrowi słowa:

— Szeleści! szeleści! szeleści!

Jakoż w rzeczy samej przeciąg powietrza, wdzierającego się przez otwór w szybie, miotał oderwanym kawałem obicia gwałtownie i nawet do uszów doktora, pomimo szumu burzy, dochodził głuchy szelest. Heliglas jednak widocznie, pod wpływem strachu zabobonnego, nie zdawał sobie z tego sprawy. Stał, drżąc na całym ciele. Doktor mógł mu się dobrze przypatrzeć. Trzymał on w ręku krótki kastet z galką ołowianą, straszną broń w ręku człowieka zdecydowanego.

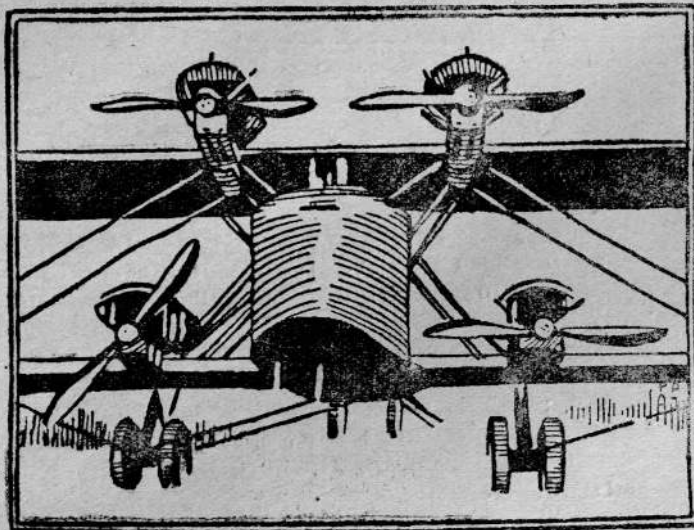
— Co on tu będzie robił? — pytał sam siebie młody lekarz.

Tego oczywiście odgadnąć nie mógł, ale jeżeli dotąd miał jakie wątpliwości, co do współdziałania Heliglasa w zamordowaniu młodej kobiety, to teraz niewątpił. Przypominał mu się stary aksyomat kryminalistów, że miejsce zbrodni ma tajemniczy pocąg dla zbrodniarzy, że pomimo grożącego im tam niebezpieczeństwa, dążą oni zawsze do niego, żeby choć na chwilkę zobaczyć, co się dzieje.

Więc i Heliglas party takim [pociągiem, taką tajemniczą atrakcją krwi przelanej, przybiegł wśród nocy burzliwej i wietrznej, wśród szumu wichru i trzasku piorunów, by raz jeszcze zobaczyć szkielet swej ofiary.

Przekonał się jednak wkrótce, że jeżeli aksyomat powyższy w pew. razach był prawdziwy, to stanowczo teraz nie. Heliglas po dość stosunkowo długim staniu na jednym miejscu, przyczem ciągle drżał, kręcił się i widocznie starał się nie patrzeć na szkielet, nagle oprzytomniał, wyprostował się krokiem poważnym, automatycznym, zbliżył się do szkieletu. Stał teraz tuż przy głowie jego, przy okropnej czaszce, bielejącej z dala, z wyszczerzonymi zębami, z czarnymi oczami, w których cień ruchliwy zdawał się zdradzać jakieś straszne, tajemnicze życie, Żubr widział Heliglasa doskonale, gdyż był ku niemu twarzą zwrócony. Twarz tak była ciągle blada, zielona prawie, ale w zaciśnięciu ust, w zmarszczonym groźnie czole, widać było silną, niezłamaną wolę i postanowienie niepokonane.

(Ciąg dalszy nastąpi.)



Samolot Angielski który uosił przez 6 godzin ciężar 2500 klg.

Jak widzimy z rysunku musi to być istotnie przepiękny kolos o czterech śmigłach, i motorach. Aparat taki jest w stanie upźwignąć i przewieźć na dalszą metę olbrzymie ciężary, co szczególnie w czasie wojny i przy przewożeniu większych ilości amunicji lub nawet wojska. Szybkość nowego aeuroplanu dochodzi do 200—250 klm. na godzinę czyli blisko 4 razy więcej niż pociąg osobowy.

ROZMAITOŚCI

Serdeczne pożegnanie z katem.

August Marcelle, 20-letni, skazany na śmierć morderca z miejscowości Evre we Francji, miał być ónegdaj stracony. W chwili gdy urzędnik więzienny zjawił się, aby go zabrać, Marcelle spał. Przewrócił się z boku na bok na posłaniu uśmiechnął się do dozorey i poprosił aby śmierć odłożono na godzinę bardziej mu odpowiadającą. Spełniono jego ostatnią prośbę i pozwolono mu się wyspać aż do godziny 3 rano.

Wesoly kandydat do gilotyny wyraził jeszcze jedno ostatnie życzenie. Zapraęnął wypić 2 butelki dobrego szampana, którego mu też przyniesiono. Skazaniec wypił wino spokojnie z widocznym zadowoleniem, potem ubrał się starannie wysłuchał modlitwy księdza, poprosił o papierosa, zapalił go i paląc poszedł na miejsce stracenia. Zanim położył głowę na gilotynie wyraził swemu obrońcy współczucie że nie udało mu się dać nowego adwokackiej sprawności. Następnie życzył katowi miłszego dnia, aniżeli dzisiejszy, ponieważ musiał tak długo czekać na niego.

Marcelle umarł ze słowami na ustach: „Do widzenia Kochany panie kacie“.

Kobieta — atamanem na Syberji.

Niemieckie dzienniki powtarzają za sowieckimi niezwykłą historję wodza partyzanckiej walki przeciw Sowiętom na Syberji, znanego pod nazwiskiem Atamana Orłowa. Orłow jest to jednak pseudonim. Właściwe nazwisko atamana, który jest... kobietą, brzmi: Helena Sienina.

Jej zapał bojowy i jej nieubłagana nienawiść przeciw bolszewickiej tyranji urodziła się na podłożu tragedji, niestety jednej z wielu obciążających krwawy przewrót roku 1917, krwawe gruntuwa nie czerwonego caratu. Mąż Sieninej, chorąży wojsk Kołczaka, pojmany został przez bolszewików. Wkrótce potem pojmano także małżonkę i w jej oczach nieszczęśliwca zakatowano na śmierć, poczem ją samą po storturowaniu wrzucono do rozkopanego grobu, przysypując zlekka ziemią dla wyolbrzymienia jeszcze mak agonji, jak przypuszczano, nieuniknionej. Sienina jednak kobieta o bezprzykładnych podobno siłach

organizmu i ducha, pod osłoną nocy wypełzła z grobu, dtarła do bliskiego Omaska i znalazła tam schronienie u przyjaciół. Po wyzdrowieniu szukała pewniejszego ukrycia na Syberji. Tam w syberyjskiej wsi, dojrzewał w jej duszy plan zemsty. Coraz powszechniejsza miłść wśród wieśniaków i popularność, jaka ją otaczała, dodawały jej coraz więcej otuchy.

Wreszcie pewnego dnia zwiastowała tłumom, które specjalnie na placu wiejskim uroczystie zgromadziła, że we śnie ukazała się jej postać Matki Boskiej, wzywając ją do nieubłaganej na śmierć i życie walki z bolszewizmem. Tłum przyjął tę cudowną wieść z entuzjazmem. Sienina przywdziała szaty męskie, wyruszyła do bojów, które w krótkim czasie zgromadziły naokoło niej tysiące partyzantów i zasłynęła szeroko pod mianem atamana Orłowa.



85-cio piętrowy kolos w Detroit (Stany Zjednoczone).